# ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Czerwca 1892. Nr. 12.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.


## PIOTR WŁAST,

### PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Nikt ani pomyślał we dworze całym o śmiałym zamachu, który został uknuty; szli wszyscy znużeni spać. Dobek, choć niby zmęczony, zaraz się na posłanie rzucił, czekał oka nie zmrużywszy, aż się pośpią wszyscy. Sługę swego zaufanego postawił w progu na czatach.

Drugiego cichaczem wysłał z rozkazem. »Nim ranek zaświta, żeby mi tu wszyscy moi byli do koła na zawołanie. Ja mało co albo nic spać nie będę, gdy się ruszę, abym ich pod ręką miał.«

Cicha noc zimowa, niekiedy szumem wiatru przerywana i dzwonkiem Opactwa, wołającym na godziny w chórze, objęła domostwo Petrkowe. Spali wszyscy utuleni ciszą, Dobek tylko jeden sparty na łokciu czuwał i najmniejszemu szelestowi się przysłuchiwał.

Niekiedy przez okno wyzierał na niebo, aby, gdy się gwiazdy pokażą z za obłoków, po nich się godzin nocy domyśleć.

Jeszcze do ranka daleko było, gdy po cichu wstał i na palcach wyszedł do swych ludzi. Wszyscy oni odzieży nie zdejmując, broni nie puściwszy z rąk czuwali. Znalazł oprawców, czeladź na zawołanie gotową. Nie czyniąc najmniejszego szmeru wysunęli się w podwórze.

Wczorajsze wejrzenie bystre i przenikające Starosty Rogiera pokoju nie dawało Dobkowi. Mówił sobie ciągle: »Jeśli kto, ten niebezpieczny jest, jego potrzeba naprzód pochwycić, aby jako wściekły zwierz pana i przyjaciela nie bronił a na gwałt nie uderzył.«

Choć tak było jeszcze wcześnie, postrzegł Dobek, że się już w dworku starosty świeciło. Rogier nie spał całą noc, taki go niepokój ogarnął, sam nie wiedział czemu. Przybycie Dobka, jak przepowiednia nieszczęścia jakiegoś z myśli mu wyjść nie mogło. Każdy szelest go przerażał, czuł że coś groźnego wisiało nad niemi.

Wtem do drzwi jego zakołatano.

— Kto tam? — zawołał Rogier.

— To ja... to ja, zmiłujcie się, otwórzcie co rychlej, pilno mi bardzo,

odjeżdżać już muszę. Petrek śpi, zdam więc na was, com mu miał powiedzieć.

Rogier zaledwie poznawszy głos Dobka, drzwi uchylił, światło trzymając w jednej ręce, gdy z obu stron nastawieni oprawcy i pachołkowie wdarli się do sieni i rzucili na niego. Starosta porwał się do obrony, ale miecza ani broni żadnej pod ręką nie miał. Dobek dobywszy z pochew nóż zapasany, do gardła mu z nim przyskoczył.

— Zdaj się natychmiast, niechceszli bym cię tu ubił! Petrek już w moich rękach, żaden zdrajca nie ujdzie!

Oprawcy wnet mu ręce w tył wyłamali i wiązać je poczęli sznurami, a jeden krzyczącemu na gwałt, knebel w gębę wbił i zawiązał ją.

Nie miał prawie czasu głosu wydać, gdy się tu już wszystko skończyło. Wnet zgaszono światło, a związanego więźnia położono u drzwi, straż dodawszy.

Dobek już spieszył pod dworzec wielki. Tu dopiero najważniejsza miała się odbyć sprawa.

Petrek nie spał. Rogiera przestroga, rozmowy wczorajsze, nazbyt serdeczne obejście się Dobka, nie mogły mu wyjść z myśli. Rozważał, dobadywał się, czy w tem istotnie zdrady nie było. Zdało mu się wtem, że szmer jakiś niezwykły słyszy w dziedzińcach; po chwili jednak ucichło zupełnie. Sądził, że ludzie wstawać muszą do roboty i nad ranem czeladź się rusza w domu jak zwykle; przeżegnał się i począł modlić.

W tem z cicha pukanie usłyszał do drzwi sypialni.

— Kto tam? — odezwał się podnosząc na łożu.

— Wstawaj panie Petrze, — odparł Dobek głosem spokojnym — ja to jestem. Pragnę pomówić z tobą z polecenia księcia. A no, żwawo, tajemnicę ci bardzo ważną przynoszę! czasu nie mam! Wstawaj!

Petrek z łoża się ruszył trochę zaniepokojony, poznał głos gościa swego, ale godzina, pośpiech, naglenie zdało mu się dziwnem. Podejrzenie Rogiera znowu po głowie kołować zaczynało. A nuż zdradę jaką uknuto!

Wstać czy nie? otwierać? Milczeć czy odezwać się? Sam nie wiedział. Niepewność ta trwała bardzo krótko, zawstydził się sam przed sobą, że miał tak mało odwagi. Tyczasem Dobek coraz niecierpliwiej dobijał się do drzwi.

— No, cóż tam się z wami dzieje? Czy się tam tak długo przybieracie? Hej, panie Petrze! A no! czekam na was. Toć nie ja od siebie tu przychodzę, ale jako poseł książęcy... książę jest tu sam! Książę stoi u wrót, zmęczony, jechał całą noc, wstawajcie. Petrze, a nuże! żywo! Zmiłuj się, chódź księcia przyjmować; a to się pogniewa.

Usłyszawszy o księciu Petrek zerwał się co prędzej, a że kożuch miał przy łóżku, chwycił go na siebie, i jak miał zwyczaj gdy wychodził, nóż który u pasa nosił, wziął w rękę i hełmem na prędce głowę przykrył. Otworzył drzwi.

— Cóż to znowu? W hełmie i z nożem w ręku na spotkanie księcia się wybrałeś? Cóż to znaczy? Czy na nieprzyjaciela idziesz?

Petrek znowu się zawstydził i co prędzej hełm z głowy, nóż dobyty rzucił na łoże. Lecz zaledwie się odwrócił, gdy przez uchylone drzwi skoczyli oprawcy i pochwycili go.

— Takiś gość! — krzyknął Palatyn szamocąc się — ty zdrajco!

— Ja? — zawołał Dobek. — Ja? Co czynię, to z rozkazu! Nie moja w tem wola! Z tem mnie posłano! wiązać!

Wrzawa około drzwi sypialni coraz się wzmagająca, zbudziła już dwór niemal cały. Światosław, którego ojciec obok swej izby na tę noc położył, zerwał się i wyskoczył. Zaledwie się pokazał, gdy Dobek skinął aby go brano. Poczęto chłopca chwyciwszy niemiłosiernie szarpać, dusić i pętać.

Gdy się to działo we dworcu, cała czeladź, opactwo, sąsiednie domy krzykami zbudzone, wysypały swą ludność, gromady przelękłe zbiegały się, kupiły, krzyczały. Niektórzy do miasta uchodząc uderzyli na gwałt, a że Petrek miłym był wszystkim, lud zewsząd leciał, garnął się i otaczał podwórza. Dobek

by się nie mógł obronić, gdyby te tłumy na niego się rzuciły, ale przemądry człek, natychmiast, przygotowaną chorągiew księcia Władysława rozwinąć kazał.

— Z rozkazu pańskiego! wola jego się dzieje! Precz! z drogi! Gardło da, kto rękę podniesie — wołali ludzie Dobkowi, rozpędzając gromady.

Dnieć już zaczynało. Lud odepchnięty, rozbity stał jak odrętwiały, patrząc, co się działo; jęki i płacz rozlegały się w podwórcach i po izbach, kobiety strwożone uchodziły.

Gromada ludzi Dobkowych widząc się otoczoną tłumami, co prędzej na koń siadła, trzech jeńców związanych biorąc w pośrodek siebie. Sam Marszałek stanął na przedzie, chorągiew pańską rozkazując nieść przed sobą i coraz obwoływać, że się to działo z rozkazu pana. Oba wiając się utracić już pochwyconych, nieopatrzny Dobek, zapomniał o niewiastach, które też chciał zabrać, zapóźno przypomniał je, gdy już się wracać nie było można. Brzask dnia oświecał widowisko dziwne, niepojęte, które ludziom nawykłym widzieć potęgę Petrkową, zdało się jakimś cudem strasznym.

Tego co wczoraj tu panował, widziono pieszo, skrępowanego jak niewolnika, jak zbrodniarza, popychając końmi, pędząc do pochodu włóczniami.

We dworze płakała ręce łamiąc i od zmysłów odchodząc Petrkowa, u której nóg, obejmując je, córka leżała. Dalej, cała gromada, z klasztoru wybiegłe mnichy stali patrząc potrwożeni, niewiedząc czy pogaństwo na gród napadło, czy zbójców jakich kupa. W niektórych mieszczanach krew kipiała, aby się rzucić i odbić niewinną ofiarę, ale chorągiew książęca osłaniała siepaczy i Dobek upojony zwycięztwem, rozgorączkowany, wlokąc za sobą jeńców pędził na zamek.

Ze trzech brańców najspokojniejszy był Petrek. Słowo jedno z ust mu się nie wyrwało, z głową spuszczoną szedł nie patrząc, milczący, niekiedy tylko ruchem ręki synowi, który się od płaczu zachodził, nakazując milczenie. Starosta Rogier, któremu knebel z ust wyjęto, blady wlókł się jak upojony wściekłością i gniewem. Widać w nim było zduszoną ale nie złamaną siłę. Patrzał z pod brwi nawisłych na otaczający lud, jakby mu wyrzucał podłość jego, że stał nie ruszając się w obronie dobroczyńcy.

Jedno jakieś słowo może byłoby te tłumy podniosło, lecz rzec go nie śmiał nikt. Petrek sam szedł jak winowajca skruszony, poddający się losowi swemu. W duszy jego powracające teraz wspomnienie przeszłości, przywodziło mu ową chwilę na pamięć, gdy tak samo Wołodara na łowach w zasadzce pochwyconego, wiódł Krzywoustemu. I mówił sobie: »Miarą taką mierzą mi, jaką ja mierzyłem. Stań się wola Twoja!«

To go w sumieniu zabijało i odbierało mu siłę. Zdało mu się, że spóźniona Opatrzności ręka na tym świecie chciała mu karę dać ponieść, aby ją zdjąć z niego na innym. Poddawał się jej w pokorze.

Dobek rozgorączkowany, coraz się ku niemu z konia odwracał drwiąc, ale słowa jego i wejrzenia padały jak na kamień, bo Petrek zdawał się nie widzieć i nie słyszeć nic.

W chwili tej stał się jakby innym człowiekiem, pokutnikiem pokornym, niemal dobrowolnym. Nie miotał się w więzach, niósł je jako z nieba zesłane.

Dzień już był jasny, gdy Dobek na zamek przybywszy, zszedł sam do więzień, dobierać je dla tych, których z sobą prowadził.

Staroście zamkowemu naprzód rzekł:

— Gardło dasz, jeźli ujdzie który, gardło jeźli do nich przystępu pozwolisz komu, gardło jeźli im najmniejszą ulgę uczynisz! Książęcy rozkaz! Zdrajcy są przeciw niemu!

Więzienie pod murowaną częścią grodu było na pół w ziemi, izb w niem dwie. Aby Petrek pociechy z syna nie miał, rzucono go do jednej samego, do drugiej Rogiera i Światosława.

Dobek strażą ze swoich ludzi wzmocnił grodową.

Gdy Petrek związany, wepchnięty do ciemnicy padł na słomę, stanął nad nim niemiec śmiejąc się wziąwszy się w boki.

— Kładnijcie się wygodnie Palatynie, do spoczynku, będziecie mieli dosyć czasu... Nie wyjdziecie ztąd aż pod miecz katowski!

Na to nie otrzymał odpowiedzi ani wejrzenia nawet, Petrek leżał nieruchomy. Dobek przeszedł się raz i drugi po ciemnicy, czekał na coś, Palatyn ani jęknął przy nim, dopiero gdy drzwi się z trzaskiem zamknęły za odchodzącym, załamał ręce i modlić się zaczął.

Gdy więźniów tak w tryumfie na

Zaledwie one uszły ze dworu, on już napowrót tu bieżał, aby go ograbił i zniszczył. Straż, którą tu zostawił nieliczna, opasana daleko znaczniejszemi gromadami ludzi z miasta i opactwa, część tylko małą dworu otoczyć mogła. Drugą stroną Petrkowa i dworscy unieśli życie i co zdołali porwać z komnat i skarbca.

Z powrotem marszałka poczęło się mściwe gospodarstwo jego.

Pochwycono naprzód wozy i konie,



CAR JEDZIE! (Obacz objaśnienia rycin na str. 192.)

gród prowadzono, przestraszona Petrkowa z córką, miała czas, zabrawszy co mogła na prędce, ujść przez Opactwo na bezpieczniejsze schronienie do folwarku benedyktyńskiego, który ona sama mnichom nadała. Tu w chacie ubogiej upadła bezsilna, cała we łzach się rozpływając i córkę tuląc do siebie.

Opat Anzelm przedsięwziął wszelkie środki, aby schronienie to bezpiecznem uczynić od napaści, a pogoń w inną skierować stronę, domyślano się bowiem, że Dobek niewiast szukać będzie i ścigać je.

aby na nie zdobycz ładować; Dobek wpadł do opustoszonych komór, z których wszyscy pouchodzili, łamiąc drzwi, rozkazując zabierać cokolwiek padło pod rękę.

Odbito zaraz skarbiec, w którym stało na kilka wozów złota, srebra, naczyń, oręża, futer, jedwabiów, sukna, zapasów najdroższych w owych czasach, ale Dobek rozpatrzywszy się w nim zawołał, że to nie był główny skarb Petrkowy... Tamtego, który olbrzymie miał zawierać zbiory, nie wiedziano kędy szukać,

nikt go nie znał. Ze ścian i z podłóg dworca poodzierano potem sukna, opony, kobierce, ze stołów okrycia, a czego zabrać nie było można łamano i niszczono.

Dobek chodził jeszcze po zakątkach, szukając coby zagrabił, gdy ujrzał stojącego zdala Opata Benedyktynów.

Opat, ani przywitawszy grabieżcy, patrzał smutnie po komnatach opustoszonych.

— Cóż się to tak dziwujecie temu, co się tu dzieje — krzyknął doń Dobek. — Pełnię rozkaz pański. Zdrajcę ująłem, mienie jego całe, ziemie, wszystko do księcia należy.

— A kogoż to i kiedy, — odezwał się Opat spokojnie — zdradził ten człowiek? gdzie ta zdrada? kto go sądził!

— Wyrok książęcy! — odparł Dobek. — Wam klecho, ani pytać o to, ani sarkać, chcecieli być cali!

— Chceszli ty być całym — krzyknął Opat z mocą wielką, podnosząc habit swój czarny — nie tykaj ani słowem ani ręką tej sukni, abyś trupem nie padł! Czyń, jako niewolnik, co ci kazano, ale zdala od ołtarza i ludzi jemu poświęconych, aby cię ziemia nie pożarła!

Dobek stanął osłupiały, zląkł się.

— Nie rzucajcież klątwy na mnie! — zawołał drząc — ja tu mojej nie spełniam woli. Sługą jestem.

Opat popatrzał i odwrócił się od niego z pogardą. Powolnym krokiem przeszedł po izbach, mrucząc modlitwę, patrząc, stając, niekiedy ciężkiem westchnieniem zdradzając żal wielki.

Dobek tymczasem wyśliznął się drugiemi drzwiami do wozów, które strażą otoczone pode dworem stały. Łupu zabranego ztąd nie dosyć mu było, wypędzono ze stajen konie, wzięto kolasy i wozy, zegnano psy, pochwytano sokoły, powywracano szopy i zostawiono pustkę i gruzy tylko...

Tymczasem w Opactwie, na probostwach, w dworcu Biskupim, wiadomość o uwięzieniu Petrka wywołała oburzenie i ruch nadzwyczajny. W refektarzu klasztornym Ś. Wincentego wszyscy ojcowie zbiegli się na radę. Opat chciał zaraz biedz do Biskupa, ale tego jeszcze z powrotem z Płocka nie było. Chociaż Dobek zuchwale się składał rozkazami pańskiemi, nie wierzono mu, widziano w tem zemstę osobistą, chciano zaraz słać do księcia ze skargą, do Biskupów z żałobą, z prośbą, aby obstali za prześladowanym. W kościołach nakazano modły publiczne. Opat, który był przyjacielem domu i codziennym gościem Petrka, łamał ręce nad losem, jaki mógł być zgotowany nieszczęśliwemu.

Wieść się właśnie była rozeszła, że książę Władysław z żoną, na jednym z zamków szląskich, o mil kilka od Wrocławia się znajduje, nie wiedziano jednak w którym. Opat wstrzymać się musiał, choć gotów już był jechać, aby za uwięzionym przemawiać.

Wysłano na zwiady, dokąd Dobek się udał. Nie wątpiono, że spieszne jego oddalenie się z łupami miało na celu stawienie się księciu z niemi, i wzięcie u niego rozkazów, jak teraz z więźniem postąpić. Władza panującego była naówczas nieograniczoną, nie potrzebował sądów, nie tłómaczył się z tego, co czynił. Za jednych tylko duchownych odpowiadał przed Rzymem, za innych przed Bogiem i sumieniem. Nienawiść mogła nastawać na gardło, a jeśli nie na życie to na oślepienie okrutne, które człowieka bezbronnym i bezsilnym czyniło, na wieczne wygnanie, które nędznym robiło tułaczem.

Trwały jeszcze narady te w Opactwie, gdy dano znać, że książę Janik z Płocka powrócił. Tejże godziny O. Anzelm, wziąwszy z sobą O. Maura, pospieszył na dwór biskupi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza ma Litwę uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
Bo jeśli słuszna Wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach,
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,
Na sioła, zamki i bogate miasta:
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie,
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko!... Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od krzyżackiej strony
Szyszak błyszczący ze strusiemi czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony!

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!
Ach! kto litewską duszę mógł obronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić...

O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym nie złamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem,
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła...

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało! Tłum ludzi obiega:
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I stamtąd dawne opowiada czasy...
Tak słowik, z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu;
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgliszczą i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie bezdzietni...
Echa mu wtórzą. Ja słuchałem zdala.
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni, kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje...
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono...
Marzyłem cudnie... srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry!
Myśl, znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę,
Lutnia umilkła w odrętwiałem ręku;
Śród żałosnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę;
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:
Możeby jeszcze w tej jednej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie... niegdyś całe życie.*)

*) Młodzież, mianowicie chodząca do szkół, niech się tej „Pieśni" na pamięć nauczy.

# PROCH BEZ DYMU.

## POGADANKA NAUKOWA.

Gdy piętnastoletni Kazio dostał od ojca dubeltówkę, nie posiadał się z radości. Strzelbę swoję czyścił co rano, przewieszał ją przez ramię, to znów zawieszał na ścianie, gładził jej wypolitur owaną kolbę i zazdrośnie spoglądał na każdego, kto ją dotknął. Codziennie też wychodził ze strzelbą w pole lub do lasu, ćwicząc się w strzelaniu do celu. Ojciec dając mu ową dubeltówkę ucieszył go też słowami, które później Kazio z niejaką dumą powtarzał rodzeństwu:

— Daję ci tę broń, bo wiem, że potrafisz rozważnie z nią postępować i na złe jej nie użyjesz.

— Widzicie — wołał Kazio — ojciec uważa mnie za dorosłego.

— Już ja postaram się być także rozważnym — zaręczał o rok od Kazia młodszy Witold. — A czy w twoich nabojach jest proch bez dymu?

— O nie! — odparł Kazio — proch bez dymu to świeży zupełnie wynalazek, który jeszcze nie znalazł ogólnego rozpowszechnienia.

— I dlaczegóż to zwykły proch dymi? — zapytała siostra Andzia.

— Zaraz ci to wytłómaczę — odparł Kazio. — Czy wiesz z czego się proch składa?

— Z siarki, węgla i saletry, czyli azotanu potasu — wtrącił Witold.

— Tak jest. Otóż wiesz, Andziu, że uderzenie wywołać może ciepło.

— Wiem, wiem — przerwała dziewczynka — wiem i to że proch w broni palnej rozgrzewa się właśnie za pomocą uderzenia wywołanego poruszeniem cyngla... — tu urwała.

— A dalej? — zagadnął Kazio.

— Przyznam ci się, że nie wiem. Kula wylatuje z lufy wyparta siłą gazu. Skąd się jednak wziął ten gaz, z tego nie zdaję sobie jasno sprawy.

— Właśnie proch w gazy zamienia się pod wpływem podwyższonej temperatury. Wszak uczy nas chemia, że jeśli chcemy połączyć dwa pierwiastki z sobą, by utworzyć z nich ciało złożone, musimy najczęściej ogrzać je, otóż w prochu widzimy cztery pierwiastki: siarkę, węgiel, azot i potas. Gdy mięszaninę tę ogrzejemy, czy wiecie jakie procesy chemiczne powstają w lufie mojej dubeltówki? Oto tworzy się siarczan z potasu i węglan potasu, oraz azot i tlenek węgla. Dwa ostatnie ulatują jako gazy z lufy, siłą swoją wyrzucając kulę, dwa pierwsze zaś są ciałami stałemi, których część pozostaje w lufie, część zaś w postaci drobniutkich pyłków tworzy właśnie ów dym, który widzimy po każdym strzale.

— Ach rozumiem — zawołała Andzia. — A ten proch bez dymu, o którym wspominał Witold, z czegóż się składa? Przecież nie z samego azotu i tlenku węgla.

— O nie. Nowy proch we Francyi wynaleziony, jest związkiem chemicznym kwasu azotowego z celulosą. Wybuchając, związek ten całkowicie prawie przechodzi w stan gazowy, a raczej rozkłada się na kilka gazów i parę wodną, jednak pozostaje lekki i przezroczysty obłoczek dymu, który pochodzi poprostu z pyłków węgla, gdyż celulosa, jak każdy organiczny związek, węgiel w sobie zawiera.

— Rozumiem teraz różnicę, między nowym a starem prochem — rzekła Andzia. — Więc dym zawsze się składa z drobnych stałych cząsteczek ciała palonego. A czemuż on unosi się w górę?

— Bo cząstki te są tak drobne i lekkie, że z łatwością unoszą je z sobą gazy wywołane paleniem.

Wynalazek nowego prochu podobał się Andzi.

— Ten nieznośny obłok dymu zasłania ci zawsze tarczę, do której strzelasz — mówiła do Kazia.

— Drobnostka! — odparł. — Dym prędko opada. Ja bardzo jestem zadowolony z mojej dubeltówki, chociaż nabijam ją dymnym prochem. Zobaczysz, że jeszcze w tym roku nie jednego upoluję zająca. Wreszcie wynaleziono nowy sposób wyrzucania kuli.

— No jakiż to?

— Siłę prochu zastępuje siła skroplonego gazu węglanego. Widziałem rysunek, przedstawiający nowego systemu fuzyę. Gaz skroplony, za pomocą silnego bardzo ciśnienia, zamknięty jest szczelnie w rurce cylindrycznej, umieszczonej pod lufą. Cyngiel od strzelby połączony jest z tą rurką; gdy go naciśniemy, usuwamy zarazem klapkę, zamykającą zbiornik skroplonego gazu,



**Napad Krzyżaków na Litwę.** (Obrazek do »Pieśni Wajdeloty« na str. 182.)

i w tej chwili kropla tego płynu, w zetknięciu z powietrzem, w gaz się zamienia i kulę wyrzuca. Tutaj niema już wcale dymu.

— Więc po jednym wystrzale, znowu trzeba skroplony kwas węglowy wprowadzać do rurki.

— Nie. To byłby sposób niepraktyczny. Rurka nabojowa zawiera tyle gazu, że można pięćset razy wystrzelić. Wewnętrzna klapka za poruszeniem cyngla otwiera się bowiem na jedno mgnienie oka i wnet powraca do pierwotnego swego położenia, zamykając gaz do dalszego użytku. No, a teraz chódźmy spróbować mojej dubeltówki.

# JASKÓŁKA.

Jaskółeczko z kraju
Co tam słychać ptasze?
Czy tam kują w gaju
Kosy i pałasze?

Czy tam, jak niedawno
Śród lesistej dali,
Pieją piosnkę sławną:
Hura na Moskali!...

Czy tam z chatek kmieci
Śród śniegu i mrozu,
Polskich chłopów dzieci
Spieszą do obozu?

Czy choć wróg się znęca
Na wiosek popiele,
Stary mnich poświęca,
Sztandary w kościele?...

Czy Polki kochane
Snują swoją przędzę
I szarpie na ranę,
Łzy mają na nędzę?

»Hej bracie tułaczu,
Co tam prawisz człecze?
Nie słychać tam płaczu,
Z oczu łza nie ciecze.

Nikt pieśni nie śpiewa
Po lesie w tej dobie,
Tylko jeszcze drzewa
Dzierzą kule w sobie.

Tylko co jagody
Czerwienią się zrana,
Jakby dziatwy młodej,
W lesie krew rozlana.

Flisy pluszczą wiosły
Po wodnej topieli,
Mogiły porosły,
Ludzie pomaleli.

W lochu albo w ziemi
Kto kocha, kto czuje,
Niedola się plemi,
A głupstwo tańcuje.

Cicho! cicho! ptasze,
Dosyć już tych wieści,
Nie polskie, nie nasze,
Co się tam bezcześci...

Przyjdzie wiosna nowa,
Pozagaja blizny,
Gdy trąbka bojowa
Wrzaśnie do Ojczyzny.

Wracaj ptaku miły
Do Ojczyzny drogiej,
Odwiedzaj mogiły
I poczciwe progi.«*)

*Teofil Lenartowicz.*

---

*) Piosnka ta została napisana na obczyźnie, krótko do upadku powstania polskiego przeciw Moskalom.

# SŁAWNY GARNCARZ.

Garncarstwo, czyli sztuka wyrabiania naczyń z gliny, znaną była w najodleglejszej starożytności.

Gliniane wyroby starożytnych Greków i Etrusków, które znamy z rysunków, lub też widzimy przechowywane w muzeach, jako zabytki nieocenionej wartości, do dziś dnia budzą w nas podziw wytworną pięknością swych kształtów. Na wiele lat przed Chrystusem, już w Chinach wyrabiano zupełnie taką samą, jak teraz porcelanę, ozdobioną hieroglifami (dziwnemi literami) i wypukłemi malowidłami, przedstawiającemi smoki skrzydlate i potwornie brzydkich ludzi, cudaczne zwierzęta i rośliny, fantastyczne słońca, księżyce rozmaite, częstokroć zabawne sceny z życia mieszkańców Chin.

Z gliny, bądź z pospolitej żółtej, bądź ze szlachetniejszych jej gatunków, zwanych po wypaleniu fajansem lub porcelaną, wyrabiają naczynia w domowem gospodarstwie niezbędnie potrzebne, oraz kosztowne i zbytkowne przedmioty do ozdoby mieszkań służące, a w różnych wiekach usiłowano je do możliwej doprowadzić doskonałości.

Z wielkiem powodzeniem w czasach nam bliższych, pracował na tem polu Bernard Palissy.

Ten mąż niepospolitych zdolności, niezmordowanie pracowity i niezłomnie wytrwały, urodził się w r. 1510 w ubogiej wiosce we Francyi.

O dzieciństwie Bernarda Palissy niewiele wiadomo. W młodości swej zwiedził góry Pirenejskie i Ardeny, Flandryą i wybrzeża Renu.

Jako ubogi, wędrowny rzemieślnik, opowiada w swoich pamiętnikach, że zajmował się jednocześnie garncarstwem, szklarstwem i miernictwem, lecz robota nie przeszkadzała mu nigdy zastanawiać się nad obyczajami krain, w których przebywał, nad wszystkiem, co spotykał, przebiegając góry, lasy i doliny.

Po powrocie do ojczyzny, Palissy ożenił się i osiedlił w Saintes.

Częstokroć ludzie zdolni zdobywają świetne powodzenie, majątek i wysokie stanowisko, ale nie zawsze tak bywa; niejeden z tych, którzy przez swoje wynalazki stawali się dobroczyńcami ludzkości, musiał walczyć z niedostatkiem, z obojętnością współczesnych, znieść szyderstwa i upokorzenia.

Taki los przypadł w udziale i Bernardowi Palissy.

Widząc raz piękny puhar z angielskiego, emaliowanego fajansu, postanowił swoją ojczyznę wzbogacić odkryciem nieznanego jeszcze we Francyi sposobu pokrywania porcelany i fajansu takąż samą lśniącą polewą. Powziąwszy ten zamiar, zapragnął go natychmiast uskutecznić. Obdarzony poczuciem artystycznem, zdolnością do rysunku i niezmordowaną wytrwałością, przez dwa lata przeszło, całe dni spędzał w pobliskich hutach szklannych, czyniąc rozmaite próby nad zamierzonem odkryciem, aż wreszcie postanowił w pobliżu własnego domu zbudować piec hutniczy.

Nie mając środków do zapłacenia robotników, sam znosił cegłę, czerpał wodę, rozrabiał wapno, sam własnoręcznie piec murował.

W piecu tym zbudowanym z takim trudem, topił i gotował rozmaite materyały.

Raz sześć dni i tyleż nocy pracując bez przerwy, był pewien, że już... już usiłowanie jego pomyślny uwieńczył skutek, że zdołał nareszcie zrobić taką samą emalię, a nawet jeszcze więcej połyskliwą od tej, którą na owym angielskim puharze podziwiał, aż nagle wyczerpały się zapasy przygotowanego paliwa, ogień w piecu gasnąć zaczynał. Nie namyślając się długo, Bernard wyrywa paliki podtrzymujące młode drzewka w jego ogrodzie i wrzuca je do pieca, następnie rąbie i pali stoły, krzesła, łóżka, słowem wszystkie swoje sprzęty, wreszcie wyrywa podłogę w swem skromnem mieszkanku, aby ją również w czeluść pieca wrzucić i podtrzymać żar potrzebny.

Świadkowie tego czynu, sąsiedzi, zamiast podziwiać ofiarność i wytrwałość dzielnego pracownika, zamiast dopomódz mu, szydzą z niego i rozgłaszają, że Palissy spalił swój dom w nagłym przestępie obłędu. Inni ludzie zazdrośni i źli rozpuścili kłamliwe wieści, jakoby pod pozorem prób garncarskich, Palissy fabrykował fałszywe pieniądze.

»Spotwarzony, wyśmiany, ja i rodzina moja żyliśmy w okropnej nędzy; wszelako nigdy ani na chwilę nie traciłem odwagi, mówi wielki ten wynalazca; byłem pewien, że moje usiłowania pomyślny wreszcie uwieńczy skutek. Udając, że nie rozumiem uszczypliwych przycinków, odpowiadałem na nie zwykle jakimś wesołym żartem, a zaglądających do mej pracowni pogodnym witałem uśmiechem... Nowe spotkało mię strapienie, gdym dostrzegł, że upały, mrozy, wiatry i deszcze, uszkadzają przygotowane do wypalenia gliniane moje wyroby, dotychczas pod gołem niebem stojące. Dla uniknięcia wielkich strat, należało je zabezpieczyć od wpływów zimnego powietrza i wystawić szopę. Lecz skąd taki nędzarz jak ja, mógł dostać pieniędzy na drzewo, belki, dachówkę, gwoździe i wszelkie do budowy potrzebne materyały?... Niełatwo było odpowiedzieć na to pytanie, lecz jeszcze trudniej przyszło mi zbierać grosze..., wszelako szopa ochraniająca moje lepianki stanęła. Bóg sam wie, ile budynek ten kosztował mnie pracy ciężkiej, wysiłków i trudu. Wielokrotnie zdarzało się, że musiałem burzyć budowlę wzniesioną poprzednio. Ta okoliczność stała się powodem, że wszyscy moi sąsiedzi: pończosznicy, szewcy, kramarze, handlarze starzyzny, rozgadywali, jakobym umiał tylko psuć i niszczyć swoją własną robotę, a nie był zdolnym do niczego nad to. Zdarzało się nieraz, że mi zabrakło paliwa. Z obawy psotników, którzy by mi niezawodnie popsuli moje wyroby, czuwałem przy nich przez całe noce. Do moich uszu dochodziło wówczas miauczenie kotów i wycie psów wałęsających się po wsi. Niekiedy zrywał się wicher dziko szumiący w moich piecach i grożący zniszczeniem i zagładą moim budowlom, wątłym i kruchym moim wyrobom... Niekiedy z zachmurzonego nieba gwałtowna spływała ulewa... A skoro dzień świtać zaczynał, przemokły nawskroś, obryzgany błotem, przeziębły i drżący, chwiejnym krokiem szedłem do mej ubogiej chaty i padałem na posłanie prawie nieprzytomny, jak człowiek upojony winem.«

Zdarzyło się raz, że chcąc również zastosować do naczyń glinianych sztukę złocenia ich w ogniu, Palissy poświęcił na ten cel ślubną swoją obrączkę... A trzeba wiedzieć, że kochał bardzo żonę i przeto obrączka ta była dla niego drogą pamiątką.

W tak ciężkich warunkach, zbliżał się do upragnionego celu. Wreszcie wybiła godzina jego tryumfu: zdołał pokryć świetną emalią i złoceniem przepyszne swoje porcelanowe wyroby.

Wieść o tem rozbiegła się szybko po całym kraju; genialny wynalazca został wezwany do Paryża.

Ówczesna królowa Francyi, żona Henryka II, Katarzyna de Medicis, słynęła równie jak cały ród jej z zamiłowania do sztuk pięknych.

Bernard Palissy znalazł też w Paryżu grono nieposlednich artystów i został przez nich, według wiedzy swej, zasług i talentu oceniony, a przez oboje królestwo przyjęty bardzo łaskawie. Wyznaczono mu mieszkanie w monarszym pałacu w Tuilleries. Wolny od trosk i prześladowań, od pracy nadmiernej, otoczony dostatkiem i poszanowaniem, Palissy w owej epoce swojego życia wyrobił mnóstwo przepysznych naczyń do zastawy stołów królewskich. Lecz nietylko artystycznym pracom oddawał się genialny ten człowiek; w tym samym czasie zasłynął jako uczony przyrodnik i geolog.

W podróżach swoich Palissy badał układ skał i zbierał muszle, znajdowane we wnętrzu ziemi, które uważano podówczas jako igraszki przyrody, wytworzone przypadkowo.

Skromny garncarz, nie znający ani łaciny, ani greckiego języka, którymi

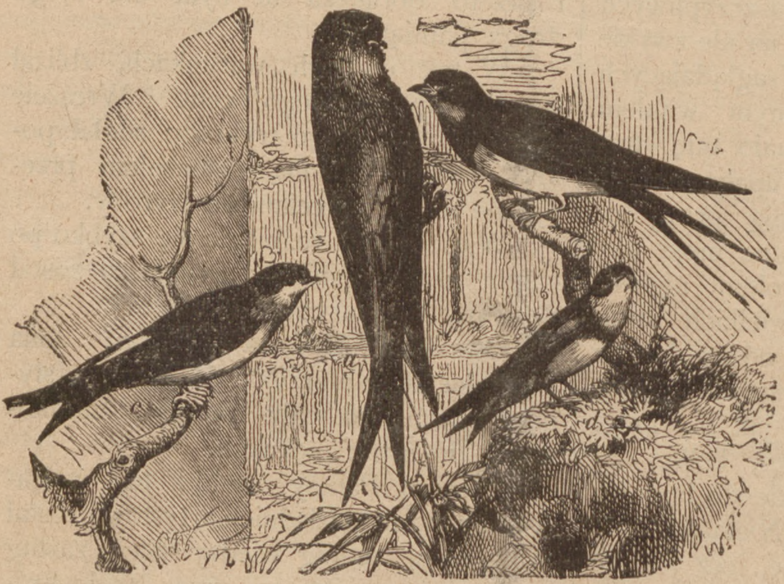
posługiwali się ówcześni uczeni, wobec najsławniejszych mężów nauki, wygłosił w Paryżu, że muszle kopane są prawdziwemi muszlami, niegdyś przez morza osadzonemi w miejscowościach, w których się wówczas rozlewały wody.

Zebrane w podróżach kryształy i skamieniałości, Palissy rozgatunkował podług swojej metody i w ten sposób założył pierwszy gabinet historyi naturalnej w roku 1575, a zarazem rozpoczął publiczne wykłady, które bardzo były uczęszczane do roku 1584.

W dziełach swoich Palisy używa formy dyalogowej (rozmowy.) Dwie osoby Teoretyk i Praktyk rozmawiają z sobą. Teoretyk jest ciemny, nierozwinięty umysłowo, uparty; Praktyk dowcipnie i zręcznie obala fałszywe poglądy swego przeciwnika.

Dzieło to należy do najpiękniejszych pomników literatury XVI-go wieku. Autor powiada tu, że nie znał innej szkoły i księgi innej prócz nieba i ziemi, które powinny być dobrze znane wszystkim bez wyjątku. Każdy może wpatrywać się w te księgi dla wszystkich zawsze otwarte, a im dłużej będzie w nie patrzał, z tem większą łatwością odczytać je zdoła.

W rozmowie o naturze wód i wodotrysków, Palissy podaje także środki przyprowadzenia wody z jednego miejsca na drugie, wskazuje sposoby urządzania wodotrysków, bada źródła mineralne, zwraca uwagę na wielkie znaczenie siły pary wodnej, całkiem jeszcze wówczas nieznanej, którą on zauważył, doprowadzając wodę w kotle do wrzenia. O rzekach i jeziorach powiada, że »są karmione piersią oceanu.«



Jaskółki. (Obacz objaśnienia rycin na str. 192.)

Słowem, Bernard Palissy, sławny garncarz i artysta, porusza wszystkie wielkie zagadnienia wiedzy we współczesnej swej epoce i tłómaczy je rozsądnem i przystępnem rozumowaniem.

Od najpierwszej młodości swej do końca życia mawiał on, że: »nauka objawia się każdemu, kto jej poszukuje.« Obliczywszy niezwykłej obfitości plony, które na niwie naukowej, bez niczyjej pomocy, owszem, pośród tysiąca przeszkód i nieprzyjaznych warunków zebrał Palissy, musimy przyznać, że ten genialny człowiek miał najzupełniejszą słuszność: że nauka dostępna jest dla każdego, kto posiąść ją pragnie... Jakaż to dla nas wszystkich zachęta do pracy!

## PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Tak sobie gwarząc, spędzali podróżni czas miło i przyjemnie. Józefowi zgoła podobało się tu tak bardzo, że gdyby ztąd Anglią mógł zobaczyć, toby chętnie na tej oazie zamieszkał. Pan Ryszard ubolewał tylko nad tem, że nie było okazyi do polowania.

— A czyś to już o lwach zapom-

niał? — zapytał go Fergusson. — Nie tęsknij za nimi, bo kto wie, czy się jeszcze na utrapienie nasze nie zjawią. Dziś w nocy musimy legowisko nasze otoczyć wieńcem ognisk, ażeby nas lwy nie napadły, ale trzeba tak ognie założyć, żeby oazy nie podpalić, bo nieraz pewnie jeszcze podróżnym się przyda.

— Czy myślisz — zapytał p. Ryszard, — że tu już kiedy ludzie byli?

— Jestem przekonany — odparł Fergusson. — Któżby bowiem takie schody do źródła wyżłobił, jeżeli nie ludzie.

Stało się tak, jak Fergusson radził, ale noc przeszła szczęśliwie. Jednak jeden z podróżnych ciągle czuwał.

Na drugi dzień niebo było bardzo pogodne, wiatru ani trochę. Fergusson znowu się niepokoić zaczął, gdyż obawiał się, że gdy tak długo potrwa, to może im zabraknąć żywności. Byłoby to bardzo przykrą sprawą, popaść w utrapienie, z utrapienia co dopiero wybrnąwszy i zginąć z głodu, gdy zaledwie śmierci z pragnienia uszli.

Po południu jednak zaczął barometr opadać, co było oczywistym znakiem, że nastąpi gwałtowna zmiana powietrza. Czemprędzej tedy zaopatrzyli się w wodę. Ale spodziewany wiatr nie powstał, balon ani drgnął.

Smutni położyli się, tylko Józef czuwał. Około 3 godziny rano oziębiło się nagle a niebo zaszło chmurami. Józef zbudził zaraz towarzyszów, wołając:

— Wiatr! Wiatr!

— Nakoniec! — wyrzekł Fergusson, stając przy aparacie, a spojrzawszy na niebo, dodał: — Będzie burza!

Wszyscy trzej umieścili się w łódce, oczami żegnając oazę i źródło i drzewa, jakby im za ratunek dziękując.

Zaszumiało. Balon porwał się, podleciał w górę, jakby do lotu, a potem zaczął lecieć ogromnym pędem.

Pomimo iż bardzo szybko lecieli, przecie ciągle jeszcze pustynię pod sobą widzieli. Wreszcie około południa zaczęła im się pokazywać inna okolica. Pokazywały się już trawy.

Józef, który bardzo lubił czytać podróże Kolumba, wstał i z powagą zawołał:

— Jak Kolumb po długiem błąkaniu się po morzu, ujrzawszy ziemię amerykańską, zawołał: ziemia! ziemia!... tak my prawie zawołać możemy, bo ta pustynia, to też jak morze!



**Pałac bogatego Rzymianina za czasów pogańskich.**
(Obacz objaśnienia rycin na str. 192.)

W godzinę potem zaczęły się pokazywać drzewa i im dalej pędzili, tem ładniejszy kraj się pod nimi rozwijał. Zieloność była dokoła; wysokie trawy szumiały; po dolinach płynęły rzeczułki. Wnet i zwierzęta się pojawiły i to zaraz w znacznej liczbie i wielkiej rozmaitości. Dziki wół tarzał się w trawie; szare, czarne i żółtawe słonie ogromnej

wielkości przechodziły się, gniotąc trawy i łamiąc drzewka i krzaki, co słabsze. W rzekach pluskały się konie wodne i krowy morskie o 12 stopach długości i postaci podobnej do ryby.

— Tyle tu rozmaitego zwierza — odezwał się Józef, — że gdybym je wszystkie połapać zdołał, to miałbym najosobliwszą menażeryą w świecie.

Po tej bujnej roślinności i bogactwie zwierząt, poznał Fergusson, że znajdują się nad królestwem, nazwanem Adamową.

— Wstępujemy w ślady podróżników, bo i tu w tych stronach już byli Europejczycy, a mianowicie kapitan Burton i Speke.

Po 12 godzinach jazdy stanęli podróżnicy nad granicami Nigrycyi. Tu pokazały się osady i ludzie, Arabowie. Wreszcie dobili tuż przed ogromne góry, zwane Mendif. Były one bardzo wysokie i w długim łańcuchu wzdłuż się ciągnące. Niepodobna było, objechać ich w około, więc trzeba było wznieść się wysoko, ażeby ponad niemi przejechać. Fergusson podsycił tedy tak mocno gaz, jak jeszcze nigdy w ciągu całej podróży. To też balon wzniósł się do ogromnej wysokości 8000 stóp. W tych powietrznych okolicach było tak zimno, że podróżni w derki otulić się musieli.

Gdy minęli góry, spuścił się Fergusson czemprędzej, bo balon tak się wyprężył, że obawiać się było trzeba, czy nie pęknie. Zjechali w dół, w rozkoszną dolinę, a p. Ryszard wnet spostrzegł, że ptastwa tam było wiele. Spuścił się tedy z karabinem w ręku, a gdy kotwicę przymocował, poszedł na polowanie. Po niedługiej chwili wrócił, niosąc kilka dzikich kaczek i ptaków podobnych do bekasów.

— Będzie uczta, co się zowie! — krzyknął Józef i zaraz się zabrał do kucharzenia.

Po dobrej wieczerzy przepędzili podróżnicy noc, jak rzadko, miłą i spokojną.

## VIII.

Nazajutrz wiatr trwał i podróżni lecieli swobodnie i dobrej myśli będąc. Krótko przed wieczorem nadjechali nad pewną osadę, która prawie, jak miasto wyglądała. Na rynku odbywał się targ niewolników. Józef wyraził życzenie, że chciałby sobie miasto z bliska obejrzeć. Fergusson chętnie przystał na to i spuścił balon. Wtedy stało się to, co się zwykle stawało, gdy balon się gdzie nad osadami zatrzymał. Najprzód ozwał się krzyk mieszkańców, potem zdziwienie, a wreszcie trwoga, która ich do ucieczki spowodowała. Uciekali wszyscy, ile komu sił starczyło.

Józef śmiał się z tego do rozpuku i rzekł:

— Możeśmy, ukazując się tak nagle, dopomogli niejednemu z niewolników do uzyskania wolności.

Przez długą chwilę nie było widać nikogo; wszyscy ukryli się w domach. Wreszcie ukazał się jakiś znaczny orszak, na czele którego postępował strojnie przybrany mąż, snać wódz, z karabinem w ręku. Przed nim niesiono chorągiew.

— Idą nas witać! — odezwał się Józef.

— No, no, — mruknął p. Ryszard, — nie widzi mi się to witanie. Po co karabin niosą. Mam tego zbója z karabinem na oku.

Wtem nastała cisza, a wódz zaczął prawić, z czego jednak w balonie ani słowa nie zrozumiano, bo na dole gadali w jakimś nieznanym języku. Z ruchów jednak mówiącego poznał Fergusson, że wzywają ich, aby sobie odlecieli, a ich w spokoju zostawili. Niejaki czas po mowie, panowała cisza. Potem nagle wznieśli łuki ku górze i wypuścili strzały, które jednak balonu nie dosięgły. Wtedy wódz począł mierzyć z karabinu, ale zanim zdołał wystrzelić, pan Ryszard posłał mu kulkę, która mu strzaskała prawą rękę. Puścił karabin na ziemię i uciekł; za nim towarzysze.

Znowu nastała cisza. Tymczasem wieczorne zmroki zapadać zaczęły i wnet ciemność zapanowała. W dole ciągle było spokojnie, ale Fergusson czuwał pilnie, bo nie dowierzał.

I słusznie uczynił, gdyż około północy ujrzał dziwo. Cała osada stała jakby w płomieniach.

— Zapalili wieś, aby nas wykurzyć! — rzekł Józef.

— Nie zdaje mi się — odparł Ryszard. — Mnie się widzi, że to jakiś ogień sztuczny i zbliża się ku nam.

Fergusson przyjrzawszy się bacznie, wnet zmiarkował, co to było. W tamtych stronach chowają liczne stada gołębi w tym celu, ażeby używać ich w wojnie. Do skrzydeł i do ogona przytwierdzają im różne łatwo zapalne przedmioty, a zapaliwszy je, puszczają stada gołębi na osady nieprzyjacielskie, aby je zapalić.

To samo teraz uczynili wobec balonu, i Fergusson musiał wznieść go wysoko w powietrze, ażeby ujść przed pożarem.

— Jak na dzikich, to myśl wcale nie głupia! — zauważył Józef.

Nad rankiem wiatr się znów wzmógł i Józef, który właśnie straż miał, zbudził Fergussona. Ten popatrzył na barometr i rzekł:

— Mamy szczęście! Jeżeli wiatr nie ustanie, to jeszcze dziś dolecimy do ogromnego jeziora, zwanego jeziorem Czad.

— Wielkie to jezioro? — spytał Józef.

— Ogromne! Myślę, że wszerz i wzdłuż przynajmniej 120 mil mierzy.

— To ładnie, — uśmiechnął się Józef, — gdyż to musi być przyjemną rzeczą, lecieć nad taką ogromną wodą.

— Nie wydzieraj się do przyjemności, Józefie, — napomniał go p. Ryszard. — Czyś ich już dosyć nie miał?

— Nam potrzeba ciągle świeżych przygód, — odparł Józef, — ażeby nam nudno nie było.

— Ejże nie wywołuj wilka z lasu! — ostrzegał Ryszard.

W wesołem usposobieniu pędzili podróżnicy, aż nadjechali nad owo jezioro Czadzkie. Niezwyczajne to było jezioro. Dokoła otaczały je moczary i zagajenia. Co rok część tychże zapada się niejako w wodę, która jest szlamista, gęsta i słona. Fergusson spuścił balon niżej, aby się jezioru lepiej przyjrzeć; zapisywał też sobie, co tam widział i rysował położenie.

Wiatr był w tych stronach nie stały; co chwilę zmieniał się jego kierunek. Po kilku godzinach jazdy nad jeziorem, rzucił ich wiatr w stronę lądu; po kilku godzinach zapędził ich znowu na jezioro, lecz w inną stronę, niż byli przedtem. Lecieli nad wyspami jeziora, na których mieszkają osławieni rozbójnicy dzicy. Ci nie uciekali przed balonem, lecz wypuszczali ku niemu strzały, ale bez skutku: żadna balonu nie dosięgła.

Wtem zawołał Józef:

— Panie Ryszardzie, naszykujcie flintę, bo widzę w oddali stado wielkich ptaków!

— Co, ptaki? — zawołał Fergusson. — Oby nas lepiej minęły!

— Czy ty się ptaków boisz? — zaśmiał się p. Ryszard.

— Nie śmiej się, — odrzekł Fergusson poważnie, — bo ptaki drapieżne są dla naszego balonu najniebezpieczniejsze.

To mówiąc, skierował dalekowidz ku ptakom i przekonał się, że to były sępy, alpejskimi zwane, bardzo wielkie. Snać spostrzegły balon, bo zbliżały się chyżo ku niemu.

— Strzelę! — zawołał Ryszard.

— Zakazuję, — odrzekł ostro Fergusson, — nie drażnijmy ich bez potrzeby.

— Ale czegoż się lękasz? — z niecierpliwością odpowiedział Ryszard. — Zanim nas zaczepić zdołają, wystrzelamy je.

— Nie sposób! — odrzekł Fergusson. — Ptaków jest czternaście; jeżeli się naraz na balon rzucą i rozedrą go, zginęliśmy. Czekajmy, co zrobią. Będziemy się bronili.

Sępy okrążały balon i sposobiły się niejako do napadu. Naraz jeden z nich skierował się wprost na balon.

— Ognia! — krzyknął Fergusson.

Ledwie to wymówił, padł strzał z flinty Ryszarda i sęp ciężko a prędko w dół spadać zaczął.

Niedługo potem rzuciły się dwa sępy naraz na balon. Jednego zabił Ryszard, drugiemu Józef strzaskał skrzydło.

Teraz sępy skupiły się, a było ich jedenaście, i naraz całą gromadą, rzuciły się na balon.

— Ognia, ognia! — komenderował Fergusson.

Znowu dwa sępy spadły, ale inne rzuciły się na czubek balonu i zaczęły rąbać dzióbami jedwabną powłokę.

W tej chwili ozwał się świst: to gaz z balonu zaczął uchodzić, a w tej samej chwili balon szalonym pędem spadać zaczął.

— Zginęliśmy! — krzyknął Ryszard.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# OBJAŚNIENIA RYCIN.

**Jaskółki.** Gdy zima zniknie i oddechy wiosny uczuć się dadzą, wtedy przylatują do nas jaskółki, zwane także »zwiastunami wiosny.« Rzadko którego z ptaków lubią tak ludzie, jak te miłe ptaszyny. Jaskółki należą do ptaków, co najlepiej i najszybciej latać potrafią. Mają też po temu skrzydła: długie, wąskie, spiczaste. Natomiast nóżki ich są bardzo słabe i z trudnością tylko mogą po ziemi chodzić. Piórka jaskółek są rozmaite, bo są różne gatunki tych ptaków; jedne mają czarnoniebieskawe, świecące pierze, pod spodem białe, n. p. jaskółki domowe; inne są brunatno-szare, n. p. jaskółki nadwodne; inne mają na główce i podgardziółku brunatno-czerwone pierze. Wszystkie gatunki mają długie ogony. Gdy jaskółki gniazdko budują, warto im się przypatrzyć; najprzód naznoszą w dzióbku szlamu, wilgotnej gliny, słomek i włosów; to wszystko zaprawią swoją lepiącą się śliną, wszystko przerobią, niejako ugniotą na kulę, z której potem urobią gniazdko. Zwykle budują swoje gniazdka przy ścianie pod dachem; często też u belki w chlewach. Młode żywią, znosząc im niezmordowanie muszki, pająki i inne owady. Zwykle wylęgają podczas lata dwa razy młode. We Wrześniu zgromadzają się w wielkie gromady i razem odlatują na południe.

**Pałac bogatego Rzymianina za czasów pogańskich.** Im więcej państwo rzymskie w potęgę rosło, tem też więcej Rzym się upiększał. Tak cesarze rzymscy, jak wodze, jak też i wszyscy bogaci, budowali bardzo piękne gmachy, świątynie dla bożków, pałace dla siebie; własnym kosztem wystawiali obeliski (pomniki), wodociągi, kanały, bili drogi kamienne i t. p. Rzymianie nie mieli zbyt delikatnego zmysłu do rzeczy pięknych, lecz lubowali się w wielkich, paradnych, wspaniałych, bo ciągły wzrost i wielkość państwa zaprawiały ich myśl do takich wielkich rzeczy. Jednak nie napróżno patrzeli na dzieła sztuki greckiej. Grecy mniej dbali o to, aby dzieło było wielkie i ogromne, a tylko o to, aby było piękne, ażeby oczy i zmysł piękna znajdowały rozkosz i zadowolenie w ich widoku. Rzymianie zapatrywali się na greckie dzieła (posągi, świątynie, gmachy i t. p.) i naśladowali, ile potrafili. Na obrazku w dzisiejszym numerze widać pałac bogatego Rzymianina. Pałac to wielki i wspaniały. W domach rzymskich, budowanych zwykle w czworobok, mieściły się prawie zawsze trzy główne części, zwane atrium, tablinum, peristyl. Wszystkie trzy były od siebie oddzielone kotarami. Atrium było izbą mieszkalną rodziny; tu stało ognisko, tu pani domu sprawiała zatrudnienia codzienne. Tablinum było mieszkaniem i pracownią pana domu. Peristyl było niejako podwórzem, ale pięknem, w około którego stały słupy; nieraz też i ogród w niem był. Z jednej i drugiej strony tych trzech izb, ciągnęły się sale jadalne, czytelnie, kąpiele, spiżarnie, mieszkania niewolników i t. p. W żadnym domu rzymskim nie brakło kaplicy, w której stał ołtarz z bożkami; tam składano ofiary. Podłoga w tych gmachach bywała kamienna, marmurowa lub mozajkowa. Ściany przyozdobione tablicami marmurowemi, albo obrazami. Posowa z drzewa hebanowego lub kości słoniowej. Na dachu zakładano nieraz ogrody. W Rzymie, który kilkakrotnie gorzał, budowano po każdym pożarze coraz to piękniejsze gmachy. Cesarz Neron miał umyślnie Rzym podpalić, ażeby go ładniej odbudować. Potem spędził winę na chrześcian.

**Car jedzie!** Nieraz się słyszy, że gdy jaki cesarz lub król po kraju swoim podróżuje, to wzdłuż toru kolejowego, zgromadzają się poddani i wznoszą okrzyki na cześć monarchy. Inaczej bywa, gdy cesarz rosyjski, car, podróżuje po kraju. Zwykle nigdy dokładnie nie wiedzieć, kiedy pojedzie; w gazetach ogłoszą czas podróży, ale prawie zawsze albo prędzej, albo później wyjedzie. To się dzieje z tego powodu, ażeby zmylić szyki tym, coby jaki zamach na cara wykonać chcieli. Wzdłuż całego toru kolejowego, którym car jedzie, stoją straże, o kilkanaście kroków od siebie oddalone i czuwają nad bezpieczeństwem, nie dopuszczając nikogo blisko ku szynom, ażeby ich nie popsuł lub jakiej zapory na nich nie położył. Głównymi nieprzyjaciołmi cara, coby go ze świata zgładzić chcieli, są rewolucyoniści, zwani w Rosyi nihilistami. Car ma powód ich się obawiać, bo ojca jego zabili bombami. Zaiste, lepiej nie być cesarzem, jak w takiej ciągłej trwodze żyć!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

# Zaproszenie do przedpłaty!

Niniejszy numer jest ostatnim w tem ćwierćroczu, przeto prosimy odnowić przedpłatę na III ćwierćrocze „Światła“. Nie wszyscy ci, co od N. Roku „Światło“ sobie zapisali, pozostali mu też i w drugiem ćwierćroczu wierni. Mamy nadzieję, że wszyscy, którzy do tego czasu „Światło“ abonowali, i nadal abonować je będą. Prosimy też o popieranie i polecanie „Światła“ w kołach znajomych.

## Praktyczne rady.

— **Strawność pokarmów.** Ciekawą tablicę pokarmów pod względem ich strawności ogłosił uczony niemiecki doktór Klenke. Według spostrzeżeń jego, jednej godziny na strawienie potrzebuje: ryż gotowany, półtory godziny potrzebują jaja sadzone, zupa jęczmienna, zwierzyna pieczona, dobrze ugotowane jabłka i gruszki, szparagi, rzadka kasza jęczmienna i owsiana; godziny i minut 45 potrzebują móżdżki gotowane; dwóch godzin na strawienie potrzebują: mleko gotowane, jaja surowe, pieczona wątroba wołowa, jabłka kwaśne, stokfisz gotowany. Dłuższego o minut 15 czasu na strawienie potrzebują: świeże mleko niegotowane i indyk gotowany; dwie i pół godziny potrzebują: pieczony indyk, gęś dzika pieczona, pieczeń barania, prosię, kartofle, oraz fasola, bób, groch i soczewica, gotowane w strączkach: 15 minut więcej potrzebują: legumina (potrawa) z jaj i mleka, delikatna pieczeń jelenia. Trzech godzin na strawienie potrzebują: jajecznica, baranina duszona wędlina surowa, befsztyk, chuda pieczeń jelenia, bażant morski, pirogi. O 15 minut dłużej trawi się pieczeń wołowa, marchew gotowana, sałata i kapusta. Półczwartej godziny potrzebują do strawienia: wieprzowina pieczona, i mało solona, masło, jaja na twardo, stary ser, sarnina gotowana i solona, kartofle gotowane, rzepa biała gotowana, zupa z baraniny, świeży chleb biały, kapusta gotowana, chrzan i cebula gotowane. Dłuższego o 15 minut czasu potrzebuje tłusta pieczeń jelenia, kawa i chleb z masłem. Czterech godzin potrzebują: drób domowy gotowany i pieczony, pieczeń barania, cielęca, zupa z jelenia, łosoś solony, grzanki z chleba. Półpiętej godziny potrzebują: jagnię gotowane, słonina świeżo posolona, kapusta kwaszona; 5-ciu godzin potrzebują: zupełnie twarde jaja, kiełbasa wędzona, smażona, twarda cielęcina, pieczeń z starego barana, flaki, łój wołowy, owoce pestkowe, rodzenki, migdały, orzechy, grzyby, strączki bez ziarn. Sześciu wreszcie godzin do strawienia potrzebują: stara słonina, minogi i węgorz. Z tablicy tej można widzieć, co powinni jeść ludzie osłabieni, chorzy lub skłonni do cierpień żołądkowych, brzusznych. Wszelkie pokarmy, wymagające do strawienia więcej niż 4 godzin, są szkodliwe. Dodawanie masła, tłuszczów i kwasów czyni pokarmy mniej strawnemi.

— **Plamy na liściach i owocach.** W nr. 8 pisało »Światło« o czarnych plamach na liściach i owocach. Plamy te pochodzą od pewnego gatunku pleśni czyli grzybka, podobnego do grzybka czyli zarazy pokazującego się na łętach perek. Pewnemu francuskiemu uczonemu z Bordeaux udało się wynaleść bardzo skuteczny środek, który użyty zawczasu rozwój tych grzybków powstrzyma lub zniszczy. Od miasta, w którem ten środek wynaleziono nazwano płyn ten »Płynem z Bordo,« a krótko mówiąc »Bordolezą«. Owa Bordoleza robi się w ten sposób: Weźmie się zwyczajnego wapna lasowanego, jakiego mularze używają, 300 gramów i miesza ze dwoma litrami miękkiej wody, aż się wapno rozpuści na mleko. W drugiem drzewianem naczyniu rozpuści się 400 gramów utłuczonego modrego kamienia. Cuprum sulfuricum (siarczanu miedzi) w 18 litrach gorącej wody. Po rozpuszczeniu wleje się w to owo wyżej przyrządzone wapienne mleko, zamąci drewienkiem dobrze i odstawi na bok. Po ustaniu się, powinna woda nad modrym osadem się znajdująca być w szklance bezfarbną t. j. tak jak czysta woda. Gdyby miała być modrą, to jest znakiem, że wapno było za słabe, i jeszcze go cokolwiek dodać jak wyżej trzeba. Mały nadmiar wapna nie szkodzi, ale nadmiar modrego kamienia szkodzi, przeto ów płyn dokładnie wedle przepisu zrobić należy. Skoro się na liściach drzew owocowych a szczególnie gruszkach pokażą plamki, które tu i owdzie czernieć zaczną, natenczas zamąci się dobrze owa Bordoleza i konwią od kropienia kwiatów skropi pod wieczór całe drzewko, i to raz przed zakwitnięciem i drugi raz po zawiązaniu się owocu, gdy tenże jest wielkości orzecha leśnego. Podczas upału i słońca kropić nie trzeba. Powyższy środek okazał się także bardzo skutecznym na fuzicladium to jest grzybek czyli zarazę u perek. Zachodzi tu jednak ta trudność, że większych obszarów z perkami kropić prawie niepodobna, musianoby chyba wymyślić jakie maszyny do tego, coby znów więcej kosztowało, niż przyniosło korzyści.

## Rozmaitości.

* **Pojedynek wężów.** W słynnym zwierzyńcu Hagenbeck'a w Hamburgu przed kilku dniami rozegrał się zajmujący pojedynek, które stoczyły z sobą cztery węże, zamknięte w jednej klatce. Ranną porą dozórca rzucił tam nieżywego królika, który tej czwórce gadów dużych rozmiarów służy za codzienny pokarm. Przypadek zdarzył, że równocześnie chwyciły za mięso dwa węże: jeden bardzo duży, drugi nieco mniejszy. Rozpoczęła się walka nader zacięta; duży wąż owinął ogon naokoło szyi mniejszego i szybko zmusił go do puszczenia zdobyczy. W tej zaś chwili zbliżyły się do królika dwa inne węże, z któremi ów wielki podjął walkę na nowo. Daremnie dozórcy chcieli je rozdzielić, ile razy zbliżyli się z drągami, węże rozłączały się po to tylko, by rzucić się na ludzi z rozwartemi paszczami. Wreszcie, po trzech godzinach takich zapasów węże pozornie opadły z sił i zaprzestały walki. Przez ten czas ów wąż najmniejszy spokojnie zjadł pół królika i zabierał się do zjedzenia drugiej połowy, gdy znowu rzucił się na niego wąż największy, przydusił go, zmusił do puszczenia reszty królika i zjadł sam. Ale zaledwie uwolnił przeciwnika, gdy ten, z niesłychaną szybkością sam go zaczepił, obwinął się w około niego cały i tak go wziął w obroty, iż wielki wąż formalnie jęczał. Za jego przykładem poszły i dwa inne węże. Walka, która zaczęła się o godzinie 11 z rana, skończyła się po północy. Pozornie żaden z przeciwników nie poniósł szwanku, jednakże węże są znacznie osłabione i nie tak ruchliwe jak przedtem.

* **4000 kotów Napoleona I.** W roku 1815, gdy statek (na którym Napoleon I. wysyłany był jako więzień angielski na wyspę św. Heleny), miał wyruszać na morze, jakiś niewczesny żartowniś z Chester rozrzucił w mieście i w okolicy tysiące plakatów obwieszczających, iż wyspa świętej Heleny trapiona jest tak dalece przez szczury, że niepodobna będzie przebywać w niej cesarzowi i jego dozórcom, i że dla zaradzenia pladze rząd postanowił wyprawić z Chester mnóstwo kotów. Afisz donosił, iż oficer królewski przybędzie do miasta w dniu wymienionym i płacić będzie po 16 szylingów za kota, 10 szylingów za kotkę i po 2 szylingi 6 pensów za odhodowane kocię. Uwierzono ogólnie temu ogłoszeniu i w dniu oznaczonym do Chester zniesiono tysiące kotów. Gdy właściciele ich poznali, że wywiedziono ich w pole, przejęci złością powypuszczali swój towar na ulice miasta, sami zaś rzucili się na ratusz i ograbili go doszczętnie. W ciągu trzech następnych tygodni 4000 kotów zostało zabitych w Chester i okolicy. Pomimo wysokiej nagrody, wyznaczonej przez policyę, sprawcy tego figla wykryć nie zdołano.

* **Wymarłe ptaki.** W przekrojach ziemi otrzymanych przy budowach kolei żelaznych, tuneli, w minach węgielnych lub kamiennych znachodzą się ślady ptaków w stosunkowo bardzo wysokich pokładach. Łupek litograficzny w Solenhofen, w którym tyle dobrze zachowanych skamieniałości znaleziono, mieścił w sobie także resztki pierwszego z wymarłych t. j. obecnie już nie żyjących na ziemi ptaków. W r. 1861 znaleziono w tym łupku tylko jedno pióro, ale już następnego roku znaleziono w płycie łupku tylną część ciała nieznanego ptaka, nogi, długi dwoma rzędami piór opatrzony ogon. Innych części ptaka nie było, co się da wytłómaczyć tem, że potwory morskie igrające dawniej w falach morskich tam, gdzie dziś pasmo gór Jura między Francyą a Szwajcaryą się znajduje, resztę tego ptaka pożarły.

---



**1.**

*Trzeba sobie umieć radzić!*

Lejtnant: Panie podoficerze, patrzcie jeno, jak ten rekrut stopy stawia. Toć to zgroza! Jak go wnet inaczej chodzić nie nauczycie, to będzie źle!...



**2.**

Podoficer (do rekruta): Palcami od siebie stąpać, nie do siebie! Wrzeszczę i wrzeszczę, a ten rekrut, jak głuchy; ciągle stopy przy maszerowaniu palcami do siebie stawia. Słuchaj, rekrucie! Jak mi się do jutra nie nauczysz dobrze stóp stawiać, to ci biada! Będziesz piszczał! Pamiętaj.

Płyta, w której znaleziono owe części ptaka, nabyta została przez angielskie muzeum za 12 tysięcy marek.

Palce ptaka opatrzone były dość wielkimi pazurami, tylny tworzył jakoby przedłużenie środkowego przedniego, kadłub jego krótki z zadartym jak u kur, ale spiczastym ogonem, dawał mu pozór kury mającej nogi tak długie jak żóraw, a może dłuższe.

Szyja jego długa jak u łabędzia, głowa grubsza, niż u łabędzia, a dziób ostry.

Drugi lepiej zachowany egzemplarz tego ptaka znaleziony w r. 1877 także w jurajskim wapieniu, został nabyty przez doktora Siemens za sumę 20 tysięcy mrk., dla berlińskiego mineralogicznego muzeum. Ogon tego ptaka miał dwa rzędy piór, szczęki jego były uzbrojone zębami, a całe ciało było pokryte piórami; szyja i głowa były pokryte grubym puchem jak u obecnych drapieżnych ptaków. Skrzydła jego były za małe do lotu, jak to widzimy u strusia.

W Stanach Amerykańskich Kansas i Texas znaleziono później szkielety i owych dawnych, dziś już wymarłych ptaków mających zęby a należących do wodnych ptaków. Zęby tworzą tylko jeden szereg.

Jeden z nich był trzy stopy wysoki. Był on ptakiem wodnym, nie mógł latać a pióra miał bardzo gęste. Sposobem życia zbliżał się do pingwinów czyli bezlotków, które żyją w podbiegunowych okolicach.

Później niż te gatunki, żyły ptaki olbrzymię, daleko większe od strusia. Żyły one razem z człowiekiem, który je zupełnie wytępił.

Do takich olbrzymich należy Dinornis giganteus (straszliwy ptak olbrzymi), który nie miał skrzydeł, dorastał wysokości dziesięciu stóp, przewyższał więc o wiele strusia wielkością ciała i siłą nóg. Z powodu swej wielkości i siły był ten ptak groźnym dla narodu Maurów, który zamieszkuje Nową Zelandyą. Dzisiejsi Maurowie opowiadali o wojnach, które ich przodkowie z tymi ptakami staczali, o czem nawet legendy krążą.

Wymienione ptaki przewyższał wielkością żyjący dawniej na Madagaskarze Aepyornis. Jaje tego ptaka znalezione 1850 r. jest sześć razy tak wielkie jak jaje strusia, a co do objętości równa się 150 jajom kurzym.

## Sztuczny obrachunek.

Nieraz mówią ludzie, co się na obrachunkach dobrze znają, że gdy im kto jaką datę miesiąca i roku poda, zaraz powiedzą, na który dzień w tygodniu owa data przypada. N. p. gdy redaktor »Swiatła« powie do takiego tęgiego rachmistrza: 1-go Kwietnia 1892 ubyło »Światłu« abonentów, to ów rachmistrz, zaraz mu powie: »To było właśnie w Piątek.«

Jak to można tak szybko obliczyć? Zdradzimy tajemnicę rachmistrzów dla rozrywki tych czytelników, co »Światłu« wiernymi pozostali. Przedewszystkiem trzeba sobie spamiętać liczby, jakie pewien sławny rachmistrz każdemu miesiącowi i każdemu dniu w tygodniu dodał. Liczby te są następujące: Styczeń (2), Luty (5), Marzec (5), Kwiecień (1), Maj (3), Czerwiec (6), Lipiec (1), Sierpień (4), Wrzesień (0), Październik (2), Listopad (5), Grudzień (0). Zaś liczby dni w tygodniu takie: Niedziela (0), Poniedziałek (1), Wtorek (2), Środa (3), Czwartek (4), Piątek (5), Sobota (6). Te liczby mając na pamięci, liczy się najprzód dziesiątki i jednostki roku (a więc z roku 1880 tylko dwie ostatnie liczby, czyli 80); do tego dodaje się jedną czwartą część tej liczby; (coby z dzielenia pozostało, tego się nie uwzględnia); do tego dolicza się liczbę miesiąca, jak wyżej podano, i datę miesiąca, i



**3.**

*Na drugi dzień.*

Rekrut stawia przy marszu stopy po wojskowemu, palcami od siebie. Lejtnant jest zadowolony, podoficer dumny, że go nauczył. a rekrut się uśmiecha, bo w służbie zaraz mu lżej, albo może też z innego powodu!?



**4.**

Zaiste, że i innego powodu, bo stóp inaczej stawiać się nie nauczył, ale przed ćwiczeniem pomógł sobie tak, że bót z prawej nogi wzuł na lewą, a bót z lewej nogi na prawą. Dla tego przy marszu wyglądało, jakby się dobrze maszerować nauczył!

potem całą liczbą dzieli się przez 7, a liczba, jaka z dzielenia pozostanie, oznacza dzień pożądany.

A więc n. p. 1-go Kwietnia 1892 ubyło (niestety!) »Światłu« abonentów. W jakimż-to dniu spotkał redaktora taki smutek? Liczy się tak: Od liczby roku bierze się dziesiątki i jednostki, a więc 92; tę liczbę dzieli się przez 4, wypadnie: 23. Tę liczbę dolicza się do 92, obie razem wydadzą 115. Do tego dolicża się liczbę miesiąca Kwietnia, czyli 1, będzie 116; do tego datę dnia, czyli 1, razem tedy 117. Tę liczbę dzieli się przez 7; wypadnie z dzielenia 16, a pozostanie 5. Liczbą 5 oznaczony jest w powyższej tabeli Piątek i akurat w Piątek to było, gdy się redaktor z ubytku abonentów smucił. Pociesza się nadzieją, że 1 Lipca nie będzie się z tego powodu potrzebował smucić!...

Inny obrachunek. 9 Lipca 1867 roku założył p. Józef Chociszewski w Chełmnie gazetę, pod tytułem »Katolik,« która później na G.-Szląsk przeniesioną została i do dziś wychodzi, a teraz drukuje się w tej samej drukarni, co »Światło.« 9-go Lipca b. r. przypada 25-letni jubileusz »Katolika,« a przypada ten dzień właśnie w Sobotę. Ciekawość, w którym też dniu przed 25 laty pierwszy numer »Katolika« wyszedł? Liczmy. 9-go Lipca 1867. Od roku tego odejmujemy dwie ostatnie liczby, więc 67; do tego czwarta część tej liczby: 4 : 67 = 16. (Co z dzielenia pozostało, nie liczy się). 67 + 16 = 83. Do tego liczbę podaną wyżej przy miesiącu Lipcu 1, wypadnie 84, do tego datę miesiąca, w którym numer pierwszy wyszedł, t. j. 9, będzie razem 93. To się dzieli przez 7, czyli

7 : 93 = 13
 7
 --
 23
 21
 --
 2

Z obrachunku pozostało 2, czyli, że pierwszy numer »Katolika« ukazał się we Wtorek, 9 Lipca 1867. Pan Józef Chociszewski z Poznania może potwierdzić, że tak było.

## ŻARTY.

### *Szczęście w nieszczęściu.*

Janek: Jak się powodzi twojemu ojcu?

Franek: Nie bardzo; ma reumatyzm w kolanach.

Janek: I ty z taką wesołością o tem mówisz?

Franek: Mam do tego powód; teraz mnie już nie może przez kolano przełożyć, gdy mnie chce wybić!

### *W drugorzędnej koleji.*

Podróżnicy: Pociąg dziś jedzie szybciej niż zwykle.

Urzędnik kol.: Nie dziwota, dziś mamy dobry wiatr.

---

Zdaje się, że głowa jest podrzędną rzeczą u człowieka, bo człowiek ze złym żołądkiem i złemi płucami długo żyć nie może, tymczasem z lichą głową, dojdzie do zgrzybiałości.

### *Głęboka uwaga.*

— Rozumiem, moi panowie, że mogli zrobić takie instrumenta za pomocą których zobaczono planety, ale jakim sposobem astronomowie odgadli nazwiska tych planet, — tego już zrozumieć nie mogę!

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 6 „Światła“:

I. Ogon koński zajęczy (włósie w smyczku na skrzypcach).

II. Były tylko trzy osoby i to: matka, córka i wnuczka.

III. Ojczyzna.

IV. Głupiec każdy ma o sobie najlepsze mniemanie.

Dobre rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali:

Alex. Gójowczyk z N. Budkowic, Mar. Łaszewska z Pogódek, St. Hoffmann z Kwilcza, K. Zych z Niepołomic, St. Moczyński z Nowegomiasta n./W., E. Pietruszka z Bytomia, K. Pawlicki z Rogoźna, J. Pakosz z Bytomia, J. Tatkowski z Łąki, Franc. Kempski z Chełmiec, A. Żmidziński z Michorzewa, J. Kępski z Barcina, F. Musialik z Rozbarku, F. Stach z W. Zimnic, B. Majerski z Doroty, A. Machnik z Siemianowic, St. Chłędowski z Bytomia, W. Spyra z Mokrego, Laurentowski z Buku, A. Świerczyński z M. Dąbrówki, T. Zimek z N. Kopaniny.

3 zagadki odgadli: Józef Kosmol z Glinicy, Jan Garus z Kryr, K. Gregorkiewicz z Pelplina, J. Lazar z Brzesc, A. Kiedrowski z Brzeźna, Moczyński z Meppen, Ks. Kinowski z Oporowa, J. Wilczek, M. Dobrzyń, St. Marcinkowski z Chełmna, P. Śmiłowski z Laurahuty, W. Opeldus z Michałkowic, A. Zoremba z St. Rept, Kiera z Srokówca, J. Sarnowski z Człuchowa, J. Kłosek z Zawodzia, K. Donimirski z Chojnic, Wituski z Kłecka, W. Kajetaniak z Trzemeszna, A. Śmigierski z Czerska, Ol. Rumińska z Torunia, P. Niedbała z Chorzowa, Fr. Wozipiwo z Załęża, M. Rydlewska ze Środy, S. T. Kraszewski z Kruszyn, M. Zborowski z Gniezna, J. Kasłek z Wilhelminenhuty, Fr. Mężyński z Pyszczyny, T. Barski z Huty Kunegundy, Fr. Winkler z Król. Huty, Fr. Niemier z Czmonia, A. Gross z Łabęd, K. Tokarz z Rozbarku.

2 zagadki odgadli: M. Jany i M. Handau z Sokolnik, M. Cichowski z Sumina, A. Kopiec ze Zabrza, Fr. Kany z Wiechula, F. Gorzkowski z Krasiczyna, Fr. Schiwy z Huty Huberta, A. Jędrzejowski z Rudy, K. Smółka z Brzeziny, J. Tkocz z Tychów, A. Maciejewski, W. Schliwa z Górników, L. Koczorek z Doroty, St. Szwarc ze Środy.

1 zagadkę rozwiązali: J. Heda z Ligoty, A. Nowakowski z Naramowic, B. Spyra z Ligoty, Majewski z Ostrzeszowa, Adela Gaj z Raszkowa, S. Mak z Lipin, J. Brzóska z M. Szarleju, P. Rasczyk z M. Szarleju.

Nagrody wymienione w Nr. 6-tym „Światło“ otrzymali (przez losowanie) wszyscy 21, którzy wszystkie zagadki dobrze odgadli, a mianowicie:

1-szą nagrodę: A. Żmidziński. 2-gą: K. Pawlicki. 3-cią: A. Świerczyński. 4-tą: M. Łaszewska. 5-tą: St. Moczyński. 6-tą: Laurentowski. 7-mą: St. Chłędowski. 8-mą: J. Kępski. 9-tą: J. Tatkowski. 10-tą: F. Musialik. 11-tą: E. Pietruszka. 12-tą: J. Pakosz. 13-tą: W. Spyra. 14-tą: A. Machnik. 15-tą: T. Zimek. 16-tą: K. Zych. 17-tą: St. Hoffmann. 18-tą: B. Majerski. 19-tą: Fr. Kempski. 20-tą: A. Gojowczyk. 21-szą: F. Stach. (Ze zdrowego pnia i Kto winien?)

**Nowe zagadki i nagrody ogłosimy w przyszłym numerze „Światła.“**

## Treść zeszytu 12 „Światła“:



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.